

Zabawy karnawałowe i kuligi staropolskie na Lubelszczyźnie

Hucznie bawiono się niegdyś w okresie karnawału. Jedną z bardziej okazałych zabaw zapustnych był kulig, zwany także kulikiem. Zabawa ta polegała na objechaniu sanna wszystkich domów w sąsiedztwie, na kolejnym przyłączaniu się do kuligowego towarzystwa, które zebrawszy się w ten sposób, zajeżdżało do ostatniego domu na tańce, zabawy i ucztowanie, a nazwana tak została od mniemanego szukania kulika — ptaka błotnego. Nazwę tę próbowano zresztą tłumaczyć również inaczej: słowa kuł, kulik w staropolszczyźnie oznaczały zbiór, snop czegoś, pęk, a w danym wypadku kompanię zebranych na zabawę sąsiadów. Inni uważali, że początek temu słowu dała kula, czyli krzywula, tj. zakrzywiona laska, jaką obsyłano niegdyś od domu do domu, zwołując wiece powiatowe, a także jako hasło do kuligu.

Zabawa ta powstała zapewne wówczas, gdy dworki i dwory szlacheckie rozsiały się gęściej na ziemiach Małopolski i Wielkopolski. Moralisci XVIII w. tak pisali o niej:

*Kulig, ta zabawa jeszcze od Popielą,
Ma za cel, by każdemu zalala gardzielą.*

Ludwik Clermont, sekretarz królowej Marysieńki Sobieskiej, opisał wspaniałą szlichtadę, która odbyła się w Warszawie dnia 20 stycznia 1695 r. (opis ten drukował w 1827 r. „Kurier Warszawski” nr 22). „Zaproszone znakomite osoby zjechały się do pałacu Daniłowiczów, gdzie później biblioteka Załuskich była. O 3 z południa trębacze dali sygnał i cały orszak wyruszył jak następuje: 24 Tatarów konno ze służby królewicza Jakuba. Dziesięcioro sań po 4 koni jeden przed drugim, czyli jak zowią — szydłem: na każdych sankach inna muzyka, to jest: Żydzi z cymbałami, Ukraińcy z teorbanami, trębacze, fajfry, janczarowie zebrani z różnych dworów. Następowaly sanie okryte perskimi kobiercami albo lampartami, sobolami i różnymi drogimi futrami. Koni było u każdych sań po cugu, strojnych w pióra, czuby, kokardy, kutasy, proszone znakomite osoby zjechały się do pałacu Daniłowiczów, gdzie później biblioteka Załuskich była.

O 3 z południa trębacze dali sygnał a każdych saniach państwo, po kilka osób płci obojej, a około sań młodzież dworska konno. Takich ekwipażów było 107, trudno było dać któremu z nich pierwszeństwo, bo wszystkie celowały doborem koni, kosztownością futer i liberii, osobliwie hajduków. Na końcu były sanki w kształcie Pegaza; siedziało w nich 8 młodzieńców, którzy rozrzucali wiersze, ułożone przez Ustrzyckiego i Chróścińskiego. Zamykał tę paradę udział drabantów. Wszyscy goście zjechali naprzód do dworu Sapieżyńskiego, potem do wojewody

Potockiego, do młodego księcia Lubomirskiego, do pana kasztelana lubelskiego [Feliksa Parysa] i do Ujazdawa. Gdzie tylko przybyli, zaraz gospodarz oddał klucz od piwnicy, a gospodyni od spiżarni. Każdemu z gości wolno było do ucztowania brać wszystko podług woli. Wszędzie grała kapela; tańczono chwilę i ruszono dalej. Ostatni zajazd był do Wilanowa, gdzie oboje Królestwo Ichmość byli gościom radzi z całego serca, częstowano wszystkich, nawet służbę dworską, co trwało do późna. Cały orszak wracał przy pochodniach, których było 800”. [Tyle pan Ludwik Clermont].

Kuligi bywały urządzone oczywiście nie tylko w stolicy, lecz po całym kraju. Nieoceniony Jędrzej Kitowicz w swym *Opisie obyczajów za panowania Augusta III* mówi, iż wyprawiała je szlachta niższej fortuny, i tak je opisuje: „Dwóch albo trzech sąsiadów zmówili się ze sobą, zabierali z sobą żonę, córki, synów, czeladź służącą i co tylko mieli w domu dorosłego, zostawiając w nim tylko małe dzieci pod dozorem jakich dwojga osób, mężczyzny i niewiasty. Sami zaś wpakowawszy się na sanki albo gdy sanny nie było, na kolaski, karety, wózki, na konie wierzchowe, jak kto mógł jechali do sąsiada najbliższego ani proszeni przez niego, ani zawiadamiając go, aby im się nie skrył albo nie wyjechał z domu. Tam go zaskoczywszy, rozkazywali sobie dawać jeść, pić, koniom i ludziom, bez żadnej ceremonii, tak jak żołnierze przy ściąganiu podatków, póki do szczytu nie wypróżnili mu piwnicy, spiżarni i spichlerza. Gdy już wyżarli i wypili wszystko, co było, brali owego nieboraka z sobą z całą rodziną i ciągnęli do innego sąsiada, któremu podobne pustki zrobiwszy, ciągnęli dalej, aż póki nie doszli w kolejności do tych, od których zaczęli kulig”.

W czasach, które opisuje Kitowicz, uczestnicy kuligów „bawili się głównie pijatyką i obżarstwem, przeto mniej dbając o tańce, przestawali na jakim skrzytku, czasem z karczmy porwanym albo między czeladzią wynalezionym. Słynęły z pijatyk i brawury kuligi w województwie rawskim, gdzie się nieraz krwią oblewały”.

Łukasz Gołębiowski, wychowany w końcu XVIII w., w książce *Gry i zabawy różnych stanów...*, wydanej w Warszawie w 1831 r., bardziej idealistycznie ocenia zabawy kuligowe. „Nie znano przedrwiwań, kłótni, pojedynków, nieporozumienie jakieś topiło się w winie, uściskach braterskich lub prośbach dziewiczych, a część znaczna osób mogła i nie wiedzieć o takim wypadku. Zabrakłoli komu czego, wnet u innych znajdował [...]. Kto widział chociażby cień jeszcze tych zabaw, przyzna z rozrzewnieniem: jak ludzki, jak uprzejmy, gościnny, dobroduszny był ten naród, rodzina to jedna zdawała się jakoby, weseląca się razem, używając darów swej błogiej ziemi. Ta gromada, podobna do alpejskiej śnieżycy, wzrastająca coraz bardziej, gdzie spadła, to dla tego jedynie, ażeby wesołość pomnożyć, starożytny obyczaj zachować, serca zbliżyć, wspólnych uciech doznawać, nie zaś klęski nanosić!”

Pomimo że moralisci XVIII w. przyganiiali złym obyczajom kuligowym, to jednak pojawia się on jeszcze w literaturze jako synonim staropolskiego zwyczaju. Józef Wybicki, szambelan JKMci,

późniejszy twórca hymnu narodowego, napisał w 1783 r. komedię obyczajową pt. Kulig. Bohaterem sztuki jest Domaros, gderacz i skąpiec, który chce córkę swą Rozetę wydać za bogatego Staruszkiewicza, podczas gdy ona woli Starościca, noszącego się z francuska. Kulig urządzony w jego domu przez sąsiadów ma ułatwić połączenie Rozety z jej amantem. I tak się staje. Ostatecznie Domaros godzi się z tym faktem i dalej z kuligiem jedzie sam. Dużą wartość w tej komedii mają szczegóły obyczajowe, np. opis kuligu z towarzyszącym mu pijaństwem, maskami, śpiewami, tańcami, oracjami, zdejmowaniem kół itp. Sztuka prezentowana była w teatrze warszawskim przez aktorów JKMcI.

W *Pamiętnikach* Kajetana Koźmiana, będących min. barwnym i żywym obrazem życia szlacheckiego na ziemi lubelskiej, znajdujemy opisy kuligów, organizowanych przez pełną temperamentu starościnę sieradzką, Ewę z Gałczowskich Kossowską. Jej dwór w Bełżycach zawsze był pełen gości, a pomyslową gospodynią znano w okolicy z organizowania zabaw i rozrywek. Pewnego razu umyśliła urządzić w karnawale kulig do dworu w Godowie, zamieszkiwanym przez kasztelanową sandomierską Antoninę Łacką (Godów dostał się Łackim dopiero w 1774 r. przy podziale po jezuickich dóbr chodelskich). Starościna uprzedziła kasztelanową, że ją napadnie z licznym weselem wiejskim, że zabawę tę co najmniej w sto osób wyprawi. Spotkawszy się z ojcem autora *Pamiętników*, Andrzejem Koźmianem, sędzią ziemskim lubelskim, poważnym obywatelem, tak długo naprzykrzała mu się i molestowała go, aż zgodził się wbrew swoim surowym obyczajom i zasadom, by synowie jego wzięli udział w kuligu. Sędzia wyasygnował pieniądze, potrzebne na stroje wiejskie (były to żupany granatowe z karmazynowymi kołnierkami, lamowane srebrnymi szychowymi galonami). Jako miejsce spotkania zjeżdżających się zewsząd swawolników wyznaczony był dwór we Wronowie koło Poniatowej, należący do szambelana Augusta III, Augusta Goltza, wówczas już siedemdziesięcioletniego starca. „Czekaliśmy — pisze Kajetan Koźmian — aż do wieczora, już w kilkanaście sani zebrani, gdy dopiero zmierzchem wszczął się od austerii wronowskiej krzyk, wrzawa, śpiewy i odgłosy muzyki na dętych instrumentach, trzask biczów i jak jaki huragan ta burza z trzydziestu sani złożona opadła przed gankiem. Dom ledwie mógł pomieścić ten tłum, udający pijanych chłopów, skaczących lub taczających się po pokojach.”

Starościna namówiła trzęsącego się ze starości Goltza, aby i on był uczestnikiem kuligu. Dla dogodzenia jej kaprysom szambelan włożył na frak sukmanę i w tym stroju oraz w peruce niemieckiej na głowie powiększył kuligowe grono. Pozwolono mu jedynie jechać osobno w karecie na saniach, z dwiema córkami, już wcześniej zamówionymi do zabawy.

Zaczęło się już ściemniać, kiedy ruszono wreszcie do Godowa. Ale zerwała się burza, trzeba było las przebywać — a tu wichur, śnieg, ciemność, jedno sanie mijają drugie, inne nadjeżdżają i trącają dyszlem, wywracają się; słychać krzyki, wrzaski, śmiechy, panuje uciecha i radość. Dotarto wreszcie przy pochodniach do domu kasztelanowej sandomierskiej, spodziewającej się zresztą owej napaści. Całe towarzystwo tańczyło, jadło, hulało, piło przez parę dni. Przewrócono wszystko do

góry nogami. Niejedno lustro stracone zostało różgą marszałkowską, niejednen sprzęt złamany przez rubasznym druzbów. Po odjeździe kuligu dwór przedstawiał obraz okropnego nieładu, jakby po rabunku.

Drugi podobny kulig wyprawiła starościna do odległego o trzy mile od Bełżyc Markuszowa, posiadłości Kajetana Hryniewieckiego, ostatniego wojewody lubelskiego. Dobra markuszowskie nabył on w 1765 r. od Małachowskich, Stał tu okazały piętrowy pałac (niestety, budynek ten nie dotrwał do naszych czasów; rozebrano go po zniszczeniach pierwszej wojny światowej).

Hryniewiecki był dobrym i rządym gospodarzem, a że słabowity i spokojny, przeraził się nie na żarty, gdy doszła go wieść o niespodziance, którą mu miała zgotować starościna. Nie chodziło mu oczywiście o ekspens związany z goszczeniem gości kuligowych, ale o hałas i nieporządek. Pałac był właśnie świeżo wyreperowany i odświeżony na przejazd Stanisława Augusta. Z początku wojewoda, choć ze względu na stan zdrowia zimą siedział zawsze zamknięty w ciepłym pokoju, chciał się od wizyty wyprosić i wyjechać, ale po namyśle zgodził się przyjąć kuligowych gości, zastrzegając sobie jednak, by byli bez podkówki u butów. I gdy wpadło do niego w umówiony dzień rozochoczone towarzystwo, przy drzwiach do wielkiej sali straż trzymali dwaj hajducy z obcęgami, którymi odrywali podkówki od obcasów. Wojewoda dbał bowiem o stan swoich pięknych posadzek. Chociaż był człowiekiem sędziwym i słabowitym, lubił jednak młode i piękne twarze, a wśród gości kuligowych było ich dużo. „Ciekawość i gościnność przemogły w nim bojaźń o zdrowie — pisze Koźmian. — Ubrany w żółte buty, żupan biały dymowy, kacawejkę takąż żółtego koloru z niebieskimi atłasowymi wyłogami [kaftan wutowany], z twarzą podwiązaną białą chustą pod brodę, z łysą głową okrytą czarną atłasową czapczką, uważał na przesuwane się pary, całował, ścisnął, Jakoż tak się rozochocił, że przez dwa dni kulig w swym domu zatrzymał.”

Za czasów Stanisława Augusta zwyczajna w innych miastach praktykowanym i w Lublinie weszły w modę reduty *vulgo tripudia* oraz bale maskowe. Jędrzej Kitowicz w swoim *Opisie obyczajów za panowania Augusta III* pisze, iż „zabawa redut była trojaka: taniec, gra w karty i przypatrywanie się jedni drugim, chodząc po pokojach tam i sam, różne maski jedne drugich napastowały w dobry sposób, zatrzymując i zagadując, kto jest pod maską”.

Urządzaniem redut trudnili się przedsiębiorcy. W Lublinie pierwszym takim antreprenerem był urodzony Jan Jakubowski, porucznik. W 1780 r. magistrat lubelski udzielił mu pozwolenia na trzymanie redut i bali maskowych w listopadzie i maju oraz w zapusty na okres lat 15, pod warunkiem wpłacania do kasy miejskiej po 150 zł rocznie. Reduty odbywały się w kamienicy zwanej Krzeszowską, potem Dachnowskich, leżącej na rogu ul. Rybnej i Grodzkiej. Niestety, przyniosły one Jakubowskiemu wielką stratę i dlatego w późniejszych latach miasto udzieliło pozwolenia najpierw Janowi Kantemu Makarowiczowi, prezydentowi miasta, następnie zaś innym obywatelom.

Na redutach po wykupieniu biletu (kosztował on w Warszawie w 1780 r. 8 złp) — jak pisze

Kitowicz — bezpłatnie korzystano jedynie ze światła i kapeli. Resztę trzeba było sownie opłacać, nawet szklanki czystej wody nie otrzymywano za darmo. Filiżanka herbaty kosztowała 12 groszy, filiżanka kawy — tynfa (18 groszy), czekolady — dwa tynfy. Za butelkę lepszego wina węgierskiego płacono czerwonego złotego, za butelkę wina burgundzkiego — 9 tynfów. Kto chciał zjeść kolację z gorących potraw złożoną, musiał płacić po czerwonym złotym od osoby. Ażeby jedzącym, pijącym i tańczącym nie schodziło na niczym dla wygody, blisko sali reductowej był jeden pokój pełen na pawimencie stolców, a na półkach urynałów, gdzie goście składali ciężary natury — informuje dalej ks. Kitowicz.

Na balach maskowych obowiązywało oczywiście przybycie w masce, co gwarantowało równość w kompanii szlachty i mieszczan, chcących pohasać sobie na parkiecie sali balowej. Oczywiście zasady te obowiązywały na reductach publicznych, po pałacach pańskich natomiast — jak czytamy w zaproszeniu na bal w rezydencji warszawskiej Jerzego Marcina Lubomirskiego, znanego z rozrzutności i awanturniczego życia właściciela olbrzymich dóbr, między innymi Janowca nad Wisłą — „żadna podła osoba, jako to barwę nosząca lub komediant, choćby miała bilet, wpuszczona nie będzie, poznana wyprowadzona zostanie”.

Tak oto bawiono się na ziemi lubelskiej w ostatnich latach Rzeczypospolitej. A jednak jeden z piękniejszych wierszy patriotycznych, napisany przez Juliusza Słowackiego na wieść o wybuchu powstania listopadowego, nosi właśnie tytuł *Kulig*.